

# NIEDO CZEKA NIE

PAROWY  
HYCEL

KRZYSZTOF  
KOCHAŃSKI



**KRZYSZTOF KOCHAŃSKI**  
**PAROWY HYCEL**

opowiadanie pochodzi ze zbioru

**NIEDOCZEKANIE**  
**Gdyby babcia miała wąsy**  
**czyli antologia historii alternatywnych**

zbiór pod redakcją Dawida Juraszka

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2015

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Robert Wieczorek

Copyright © Oficyna wydawnicza RW2010

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2015

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2015

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-123-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: [marketing@rw2010.pl](mailto:marketing@rw2010.pl)

Zapraszamy do naszego serwisu: [www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

Patronat medialny nad antologią objęli:



*FantastykaPolska.pl*  
*Nowe oblicza literatury*



ŚWIT\_EBOOKÓW

## Spis treści

Krzysztof Kochański	
PAROWY HYCEL .....	5
Hanna Fronczak	
JEDEN NA MILION .....	35
Przemysław Hytroś	
JAK MACIEK WOJNĘ WYGRAŁ .....	61
Iwona Kowalczyk	
DRAHIM .....	95
Przemysław Karbowski	
KLĄTWA BISKUPA KACZMARKA .....	167
Stanisław Truchan	
OPERACJA GRETA .....	193
Maciej Żytowiecki	
RACHUNEK .....	254
Dawid Juraszek	
PIERWSZA EUROPEJKA .....	273
Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje.....	280

## Krzysztof Kochański

### PAROWY HYCEL

Inżynier Edmund Zieleniewski, naukowiec i wynalazca, dyrektor Krakowskiej Fabryki Maszyn Parowych, był postawnym mężczyzną około czterdziestki. Nosił czarne wąsy, których końcówki zawijały się ku górze bez pomocy nocnej opaski, zwanej z niemiecka *binde*. Czerń wąsów była naturalna (w żadnym razie nie wymuszona modnymi pomadami), czego niestety nie dało się powiedzieć o włosach na głowie. Te zaczynała przyprószać siwizna.

– To dlatego, że wąsy są piętnaście lat młodsze – tłumaczył pan Edmund uroczym paniom od madame Isabelle. Gościnne jej progi odwiedzał regularnie, czasem z chęci własnej, a czasem z przymusu, popychany wewnętrzną dyscypliną, skoro domowy lekarz zalecił mu takie wizyty dla podtrzymania zdrowotnej kondycji.

Był poniedziałek, kiedy wynalazca zajechał automobilem na opustoszałą stację koksowniczą. Bałałajka, parowy pies Zieleniewskiego, zajmowała siedzenie pasażera, lustrując okolicę kryształowymi oczami. Metalowa szczeka psa, osadzona na pięknie grawerowanych nitach, opadła, odsłaniając żeliwną kratownicę z wybrzuszeniami w miejscach spawów, co w pewien sposób imitowało prawdziwe uzębienie.

W oczekiwaniu na pojawienie się kogoś z obsługi stacji, Zieleniewski wyciągnął cygaretkę. Nim zdążył zapalić, przy automobiliu stanął rosły mężczyzna w obszernym, jednoczęściowym kostiumie mechanika. Uwadze wynalazcy nie uszło, iż człowiek ten przygląda mu się podejrzliwie.

Zieleniewski odsunął cygaretkę od ust.

– O co chodzi?

Obsesowość pytania wynikała z podejrzenia, iż pracownik stacji paliw niestosownie zwrócił uwagę na jego wymięty garnitur. Prawdopodobnie odpowiadało

to stanowi faktycznemu – panie z willi madame Isabelle bywały czarująco energiczne, jednakże na takie komentarze (choćby niewyartykułowane) Zieleniewski nie zamierzał przyzwalać.

– Obok pana siedzi parowy pies. – Przygaszony głos mechanika zdawał się obwieszczać jakąś złowrogą prawdę. Bałałajka flegmatycznie obrócił łeb, wykazując zainteresowanie. Z otworu regulacji ciśnienia, umieszczonego przy oku, uniosła się smużka pary wodnej.

– Coś z nim nie tak?

Pracownik stacji zamrugął nerwowo.

– Nie tak? – ponaglił zniecierpliwiony Zieleniewski.

– Zgodnie z przepisami psom parowym wstęp na stację paliw jest zabroniony.

Wynalazca uniósł brwi.

– Ha! A od kiedyż to?

– Od dwóch dni. – Pracownik wskazał filar, na którym umieszczono stosowne ostrzeżenie.

– *Pod karą grzywny. Podpisano: Franciszek Roliński, Burmistrz* – przeczytał głośno Zieleniewski. Przeniósł wzrok na pracownika obsługi. – To co mam z nim zrobić? Zastrzelić? – spytał kąśliwie, nie precyzując, czy ma na myśli psa, czy też burmistrza Rolińskiego.

Mężczyzna rozejrzał się, jakby dla upewnienia, że na stacji nie ma nikogo prócz nich.

– Jest pan naszym stałym klientem i dobrze znam pańskiego psa – rzekł. – Jest łagodny. Do diabła z rozporządzeniem. Wciąż są nowe i nowe, człowiek nie nadąza.

– Dziękuję – powiedział Zieleniewski, poczuwszy w duchu wstyd, iż zbyt pochopnie ocenił intencje rozmówcy. Dla załagodzenia sytuacji, wysiadł z samochodu. W palcach wciąż trzymał cygaretkę, więc pracownik stacji sięgnął po szczypcę i usłużnie podsunął dymiący węgielek z koksownika

– Jak zwykle koks super, proszę pana?

– Oczywiście.

Jako konstruktor maszyn parowych Zieleniewski doskonale orientował się, że tylko paliwo wysokiej klasy dostarcza wysokotemperaturowego ciepła i nie zanieczyszcza szybów, ale odkąd produkcja parowych automobilów stała się na tyle tania, że na ich zakup stać było klasę robotniczą, należało zapewnić opał na kieszeń tych ludzi, więc jakoś często pozostawiała wiele do życzenia.

– Skąd się wziął ten głupi zakaz? – zagadnął, kiedy mężczyzna w kombinezonie zakończył szuflowanie i zabrał się za przecieranie wyciorem przewodu kominowego.

– Jak to? Nic pan nie słyszał?

– Nie.

Pracownik przeciągnął wierzchem dłoni po twarzy, zostawiając na policzku smugę sadzy.

– Na Plantach grasuje banda dzikich psów parowych – poinformował. – Mówiło się o tym już od jakiegoś czasu, ale nikogo to nie obchodziło, dopóki nie napadły na stację paliw.

– Psy parowe? Na stację paliw?! – wykrzyknął Zieleniewski. – Przecież to kompletna bzdura!

– A jednak, proszę pana – oznajmił mężczyzna pewnym głosem. – Zostaliśmy nawet przyuczeni, jak reagować w przypadku zagrożenia.

– Nonsens! – Zieleniewski wszedł do automobilu, energicznie zatrzaskując drzwiczki. Na pracownika stacji paliw spojrzął z wyrzutem. – Ktoś tu się nie zna nie tylko na mechanice maszyn, ale i na zasadach termodynamiki.

– Ale...

– Kompletna ignorancja! – zawołał, odjeżdżając.

– Przecież to nie ja! – wystękał zdezorientowany mężczyzna. – To burmistrz Roliński!

Edmund Zieleniewski już go nie słyszał. Może jedynie Bałałajka, który oglądał się za siebie, odprowadzając hałdy koksu beznamiętnie szklanym spojrzeniem.

\*\*\*

Przed domem dyrektora Fabryki Maszyn Parowych stał służbowy automobil burmistrza Rolińskiego, wyróżniający się wymalowanym na drzwiach trójkolorowym herbem miasta z białym orłem w środku. Znudzony kierowca, odziany w kraciastą marynarkę, niedbale opierał się o wypolerowaną maskę. Ożywił się, kiedy zza zakrętu wyłonił się czarny automobil z wąsatym mężczyzną przy kierownicy i parowym psem na siedzeniu dla pasażera. Wyjąwszy ręce z kieszeni, z szacunkiem czekał, aż pojazd zatrzyma się. Wtedy ukłonił się, uchylając czapkę z daszkiem, wykonaną z tego samego materiału co marynarka.

– Burmistrz u mnie? Tak z samego rana? – zdziwił się Edmund Zieleniewski.

– Czeka na pana od ponad godziny – oznajmił kierowca.

Zieleniewski otworzył drzwiczki i gwizdnął na psa. Ten zareagował natychmiast, opuszczając pojazd z wątpliwą gracją spadającej z rusztowania sterty cegieł.

Wąskimi schodkami weszli do domu: pan Edmund – machając laseczką, którą nosił wyłącznie dla szyku, Bałałajka – chrzęszcząc łożyskami. Wspinanie się nie było atutem parowego psa – nad tą stroną konstrukcji Zieleniewski wciąż jeszcze pracował – za to po płaskim terenie mechaniczny zwierzak poruszał się nadzwyczaj żwawo, choć miewał kłopoty z wyhamowaniem, jeśli zanadto się rozpędził.

Udali się do salonu, gdzie – jak słusznie Zieleniewski przypuszczał – oczekiwał burmistrz Roliński. Był to otyły mężczyzna pod sześćdziesiątkę, nieefektywnie i bezskutecznie maskujący łysinę zaczesanymi na pożyczkę włosami.

– Cześć, Edmundzie! – Roliński siedział w fotelu, popalając zamorskie cygaro, wzięte najpewniej z postawionego na toaletce pudełka, czego Zieleniewski nie mógł mu



mieć za złe, bo przecież po to cygara tam stały. Parowy pies łakomie śledził unosząc się smużkę dymu, grzecznie jednak tkwił przy nodze swego pana.

– Witam – odrzekł oziębłe wynalazca, nie zamierzając łamać sztywnej etykiety, póki sprawa szykanowania psów parowych nie zostanie wyjaśniona. Wziął cygaro z toaletki, milcząco obciął maszynką końcówkę i zapalił. Usiadłszy na kanapie naprzeciw burmistrza, prześwietlił go zabójczym spojrzeniem.

– Szukam cię od trzech dni – oznajmił Roliński, ignorując morderczą aurę. – Gdzie się podziewałeś?

– Musiałem odprężyć się trochę u madame Isabelle... – Pomiedzy brwiami wynalazcy pojawiła się pionowa zmarszczka. – To trwało trzy dni? – spytał retorycznie. – Faktycznie potrzebowałem odpoczynku! – Machnął ręką, odzyskując rezon. – Nieważne. Istotne, że teraz, kiedy znów jestem w formie i gotów do pracy dwadzieścia godzin na dobę, czego się dowiaduję? No czego?

Zapadła pełna napięcia cisza, podczas której mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

– Tak? – odezwał się wreszcie zaciekawiony burmistrz.

– Psy parowe – sapnął na wydechu Zieleniewski. – Stacje paliw. Rozporządzenie, które podpisałeś. Co ci strzeliło do głowy? Czy zdajesz sobie sprawę, jakie skutki może przynieść takie nierozważne działanie?

– O! – zawołał zdziwiony burmistrz. – Wyobraź sobie, że przyjechałem właśnie...

Było to jednak wszystko, na co rozpędzony wynalazca mu pozwolił:

– Pomijając aspekt logiczny całej tej hecy – perorował, nastroszywszy czarne wąsy niczym magik w cyrku – pragnę ci uzmysłwić, że będąc udziałowcem Fabryki Maszyn Parowych, torpedujesz właśnie jej produkt. Strzelasz sobie w stopę, rzecz można! Czyżbyś zapomniał, że psy parowe są w tej chwili naszym priorytetowym przedsięwzięciem, ważniejszym nawet niż zamówienia od Hartmana, bo i zyski mogą być większe, a horyzonty na przyszłość rozleglejsze?

Rozsierdzony wziął głęboki, uspokajający oddech i dodał:

– Ni stąd, ni zowąd wydajesz sobie rozporządzenie, które podważa społeczne zaufanie do naszego produktu. Możesz mi to jakoś wyjaśnić?

– Oczywiście, że mogę – odpowiedział burmistrz Roliński, zupełnie niespieszony wybuchem współnika. Wziął ze stolika ceramiczną zapalniczkę, wielką jak cukiernica, i podstawił ją pod nos wynalazcy. – Cygaro ci zgasło – poinformował.

Zieleniewski pogardliwie zdmuchnął zapalniczkę, a wygasłe cygaro ostentacyjnie wrzucił do popielniczki. Czekał.

– Jakiś tydzień temu – podjął Roliński – do Ratusza wpłynęła skarga mieszkańców na bezdomne psy, wałęsające się po Plantach i straszące spacerowiczów, a zwłaszcza wielbicieli niedzielnej hippiki, których, pomimo postępu technicznego i coraz tańszych parowych środków lokomocji, wciąż w naszym mieście nie brakuje...

W tym momencie Edmund Zieleniewski skrzywił się kwaśno.

– Sprawa wydawała się rutynowa – kontynuował burmistrz. – Zleciłem rakarzowi eksterminację i uznałem temat za załatwiony. Tymczasem dwa dni później ów rakarz, człek bezczelny i nieokrzesany, pojawił się w Urzędzie, żądając odszkodowania za zniszczony sprzęt, automobil, a także ekstra premii za pracę w warunkach zagrażających życiu, które ponoć cudem tylko zachował. Twierdził, i teraz uważaj, Edmundzie, że sforze bezdomnych psów przewodził pies parowy!

Wynalazca nie zdołał usiedzieć w miejscu. Wstał i rozpoczął spacer po pokoju.

– Nie wyrzuciłeś kłamcy za drzwi?

– W Urzędzie Miejskim nie tak załatwiamy sprawy.

– Nawet jeśli przychodzą łgarze i naciągacze?

– Wszystko musimy sprawdzić.

Zieleniewski zatrzymał się, odwrócił w stronę rozmówcy i popatrzył zaokrąglonymi nagle oczami.

– Jak to? Chcesz powiedzieć, że to sprawdziłeś? – W głosie wynalazcy pojawiła się nutka niepokoju.

– A jak myślisz! – Roliński wypuścił z ust gruby obłok cygarowego dymu. – Nie tylko sprawdziłem, ale zrobiłem wszystko, żeby sprawy nie nagłaśniać. Niestety bez powodzenia. Wydawało mi się, że ułagodziłem rakarza, łajdak obiecał mi dyskrecję, ale albo słowa nie dotrzymał, albo...

– Do diabła z cholernym hyclem! – przerwał mu zdenerwowany Zieleniewski. – Mów, co z oczywistym nonsensem przewodzącego psiej bandzie parowego psa! Co się okazało?

– Posłałem po komendanta Straży Miejskiej, którego poprosiłem o zachowanie tajemnicy służbowej, a także aby zabrał ze sobą ostrą amunicję. We trójkę, to znaczy z komendantem i rakarzem, pojechaliśmy do parku na miejsce zdarzenia. Po bezdomnych psach nie było oczywiście śladu, ale... – Burmistrz Roliński wznosił znacząco wskazujący palec. – Okazało się, że nawet jeśli rakarz koloryzował w szczegółach, to jednak w kwestii najważniejszej mówił prawdę. W miejscu, do którego nas zaprowadził, znaleźliśmy rozbitą karetkę i martwego parowego psa.

– Nieczynnego – odezwał się Zieleniewski głosem głuchym, jakby dobiegał ze studni.

– Co proszę?

– Pies parowy jest maszyną. Z tej prostej przyczyny, nawet jeżeli już takiego znaleźliście, nie mógł być martwy, lecz nieczynny.

– Oczywiście – zgodził się burmistrz. – Tak więc był nieczynny i leżał w kałuży gorącej wody, która się z niego wylała. Jak twierdzi rakarz, parowy pies szarżował na jego pojazd niczym byk na torreadora i nie sposób było uniknąć zderzenia.

Roliński westchnął, po czym założył nogę na nogę, zwracając uwagę, by nie pognieść nienagannie zaprasowanych kantów garniturowych spodni.

– I to wszystko? – zapytał Zieleniewski, niespodziewanie odprężony. W tonie jego głosu nie sposób było nie wychwycić ironii.

– Jeśli chodzi o tę akurat parową bestię, to tak. Zabraliśmy ją, leży w dyskretnym składziku u komendanta Straży Miejskiej. Możesz sobie obejrzeć. A nawet nalegam, żebyś to uczynił.

– Obejrzę – zgodził się Zieleniewski. – Zdajesz sobie jednak sprawę, że opowiadka rakarza nie dowodzi niczego, poza tym, że łajdak przejechał czyjś parowego psa i teraz łąże jak z nut, żeby się wybronić. Ha? Dobrze wie, ile taki pies kosztuje!

– Również tak pomyślałem – przyznał burmistrz. – Komendant Straży Miejskiej postraszył go nawet aresztem, na wypadek gdyby właściciel psa upomniał się o swoją własność.

– I co nasz oszust na to?

– Usiłował protestować, ale w końcu się zamknął.

– A widzisz!

– Niczego nie widzę – oznajmił ponuro burmistrz. Wstał z fotela, zrównując się oczami z Zieleniewskim, po czym rzekł: – To stało się w środę, a w piątek koń księżnej Opalińskiej zrzucił ją podczas konnej przejażdżki.

Podczas wygłaszanej kwestii mężczyzna nie mrugnął ani razu, twardym spojrzeniem podkreślając wagę swoich słów.

– Nie! – zaprotestował zaniepokojony wynalazca.

– Ależ tak! – skwitował bezlitośnie Roliński. – Nie muszę chyba dodawać, gdzie księżna Opalińska jeździła i co spłoszyło jej konia?

Zapadła cisza, zakłócona jedynie delikatnym, jednostajnym sykiem nadwyżki pary wodnej, ulatniającej się z oka Bałałajki.

– Spójrz na mojego psa – odezwał się Edmund Zieleniewski, nerwowo zgniatając pomiędzy palcami końcówkę wąsa. – Pewnie zauważyłeś, że odkąd

weszliśmy do pokoju, przez cały czas siedzi w tym samym miejscu. Nie ruszył się ani o centymetr. A teraz wyobraź sobie, że to nie pies, lecz zaparkowany automobil, przez zapomnienie pozostawiony z włączonym silnikiem. Co pomyślałbyś o człowieku, który podniósłby z tego powodu raban, twierdząc, że pojazd stanowi zagrożenie, bo zaraz ucieknie do miejskiego parku, by siać tam strach i spustoszenie?

– Cha, cha, cha – wydekłamał burmistrz, zachowując kamienną twarz. – Dobrze powiedziane, ale to czysta retoryka. Można podważyć bredzenia rakarza, ale przecież nie słowa księżnej Opalińskiej!

– Szlag by trafił! – Zieleniewski opadł na fotel. Desperackim ruchem wziął z popielniczki odrzucone wcześniej cygaro i zapalił je od płomienia ceramicznej zapalniczki.

– To nie wszystko – odezwał się burmistrz.

– Wiem. Podobno... hmm... zaatakowały stację paliw.

Wzniesionym ku niebu oczom wynalazcy zawtórowało westchnienie burmistrza.

– Z relacji księżnej Opalińskiej wynika, że większość bandyckiej sfory stanowiły zwykłe bezdomne psy, natomiast mechaniczne były tylko dwa, ale to właśnie one wydawały się zgrai przewodzić. Co tam wydawały się! One jej przewodziły, w tej kwestii zgodne są również zeznania innych świadków. Dotąd grałem na zwłokę, bo liczyłem, że ty coś wymyślisz. Tymczasem przepadłeś. Jak kamień w wodę.

– Za to teraz jestem do dyspozycji – oświadczył Edmund Zieleniewski, prostując się. – Dość czężej gadaniny. Zapytam krótko: czego oczekujesz?

– Wszystkiego! – Burmistrz zamachał rękami. – Zrób coś, nim sprawy na dobre wymkną się spod kontroli. Trzeba niezwłocznie wyłapać wszystkie zdziczałe psy parowe. To nie żarty!

– Uspokój się. Jeśli były dwa psy, a jednego przejechał rakarz, to znaczy, że na wolności pozostał tylko jeden.

– Niemniej jako burmistrz tego miasta nie mogę ryzykować, że w końcu zagryzie kogoś na śmierć. Na załatwienie sprawy daję ci dwa dni i niech nas obu Pan Bóg ma w opiece, jeśli w tym czasie wydarzy się nieszczęście.

\*\*\*

Zbigniew Jaworski, młody, trzydziestotrzyletni komendant Straży Miejskiej, z ulgą przyjął pojawienie się burmistrza Rolińskiego, w dodatku w towarzystwie dyrektora Fabryki Maszyn Parowych, z którym od feralnego piątkowego wieczoru bezskutecznie usiłował się skontaktować. Szczątki parowego psa, złożone w piwnicy jego biura, spędzały mu sen z powiek. Jaworski miał podwójnie związane ręce: raz jako podwładny burmistrza, dwa jako jego powinowaty poprzez ciotkę. Gdyby nie to, już w piątek rozprawiłby się z harującą po Plantach dziwaczną sforą. Miał ostrą broń palną i kilku ludzi, którzy z ochotą podjęliby się zadania. Nie pojmował, dlaczego burmistrz mu na to nie pozwolił.

– Prowadź! – powiedział krótko Roliński, kiedy tylko wszedł do biura, nawet się nie przywitawszy. Za jego plecami dyrektor Zieleniewski (również stary przyk, choć młodszy od przyka, którego w dzieciństwie Jaworski nazywał wujkiem), przynajmniej zdjął z głowy niemodny cylinder.

Komendant odprawił strażnika i zaprowadził gości do piwnicy. Parowy pies leżał na betonie, tak jak go rzucili po przywiezieniu z parku. Łeb miał zmiażdżony wskutek samobójczej szarży na karetkę raka, bark pogięty, jakby podrdzewiał. Brakowało jednej łapy, która gdzieś przepadła, chyba podczas transportu, bo kiedy komendant wrócił po nią na miejsce incydentu, niczego nie znalazł.

Zieleniewski przyklęknął. Obejrzał psa dokładnie, niczym weterynarz zastanawiający się nad przyczyną zgonu zwierzęcia.

– Obudowa sprężyn nienaruszona – orzekł z niezrozumiałym dla jego towarzyszy triumfem. – Tak myślałem. Ma pan nóż? – zwrócił się do komendanta Jaworskiego, który podał mu scyzoryk.

Wynalazca odkręcił czubkiem ostrza dwie śrubki tabliczki znamionowej, po czym ją podważył. Odpadła z cichym stukiem. Przeczytał oznakowanie.

– Jeden z pierwszych egzemplarzy – powiedział, nie odwracając się. – Początkowo sprzedaż prowadziliśmy bez pośredników, więc najpewniej da się dojść, kto go nabył.

Schował tabliczkę do kieszeni i nagle znieruchomiał, wpatrzony w posadzkę. W miejscu, gdzie leżał parowy pies, podłoga była wyraźnie ciemniejsza. – A to co? – Wskazującym palcem dotknął plamy, rozmazując wilgoć.

– Pewnie z uszkodzonego kotła wylała się woda – popisał się znajomością mechaniki Jaworski.

– Nie wydaje mi się. – Zieleniewski powąchał wilgotny palec. Zmarszczył brwi. – Olej skalny – zawyrokował. Popatrzył na burmistrza. – Dziwne. W fabryce używamy wyłącznie smarów, a jeśli nawet brudnego oleju, to nigdy w takich ilościach!

Przesunął owalny kawał blachy, odsłaniając otwór po wyrwanej kołczyźnie, Pogmerał w nim palcami, pomruczał coś do siebie, a potem wstał z posągową miną.

– Panowie! – oświadczył oficjalnym tonem. – To nie był wypadek ani błąd w sztuce inżynierskiej. Ktoś grzebał w mechanizmie tego psa. I to, co przyznaję z bólem, dość umiejętnie.

\*\*\*

Bolesław Tołłoczko, Główny Mechanik w Krakowskiej Fabryce Maszyn Parowych, pobieżnie wsłuchiwał się w wykład, jaki jego zwierzchnik, dyrektor Zieleniewski, dawał dwóm osobnikom, których przywiódł do biura. Starszy mężczyzna – tęgi,

łysawy – wyelegantowany był jak alfons, na którego w zasadzie wyglądał, zamiast na burmistrza. Profesja młodszego przybysza, odzianego w mundur funkcjonariusza Straży Miejskiej, przynajmniej nie budziła wątpliwości.

– Wytworzona para wodna doprowadzana jest przez układ rozrządu do cylindra, w którym znajduje się dopasowany tłok. Tłok dzieli cylinder na dwie części, przednią i tylną. Wpuszczając parę pod wysokim ciśnieniem raz do przedniej części cylindra, raz do tylnej, wymuszamy ruch tłoka. Za pośrednictwem korbowodu wytworzona energia przenoszona jest na wał, a regulator odśrodkowy stabilizuje obroty zębatych kółek zamachowych. Tak to wygląda w zwykłej maszynie parowej. Ale pies parowy nie jest zwykłą maszyną. Standardowa komora spalania pełni tu jedynie funkcję ładowarki, uruchamianej w stanie spoczynku. To dlatego pies nie dymi spalinami, co umożliwia jego eksploatację w pomieszczeniach zamkniętych. Właściwym źródłem energii są SPREŻYNY!

Na dźwięk ostatniego słowa, celowo przez dyrektora zaakcentowanego, słuchacze podskoczyli, jakby ktoś strzelił im przy uchu z papierowej torby, przy czym miny mieli równie zdezorientowane. Wyjątkiem był Tołłoczko, który doskonale orientował się w budowie psa parowego, więc wykład dla dyletantów najzwyczajniej w świecie go nudził.

– Owe sprężyny – kontynuował dyrektor – umieszczone są w dodatkowym cylindrze, odlanym ze stopu o wyjątkowej wytrzymałości na rozciąganie, który to materiał jest moim wynalazkiem, strzeżonym patentem. A skoro zadaniem silnika parowego nie jest wprowadzenie w ruch układu napędowego, lecz podtrzymanie energii potencjalnej sprężyn, która to energia, jak wiadomo, jest proporcjonalna do kwadratu odkształcenia od położenia równowagi...

Zieleniewski niespodziewanie przerwał wywód, wiodąc oczami po słuchaczach. Na jego twarzy pojawiło się zaniepokojenie.



– Czy wyrażam się wystarczająco zrozumiale? Macie, panowie, może jakieś pytania?

Komendant Straży Miejskiej natychmiast spuścił wzrok, w skupieniu przyglądając się sękom podłogowych desek. Burmistrz Roliński przyjął pozę, jaką zazwyczaj przybierał na sesjach Rady Miejskiej, dotyczących zagadnień innych niż kwestia przyszłych wyborów.

– Opowiadam o tym wszystkim nie dlatego, żebym miał nadzieję zatrudnić panów w mojej fabryce – tłumaczył Zieleniewski – lecz aby uzmysłwić niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo związane ze sprężynami – ośmielił się podpowiedzieć Bolesław Tołłoczko.

– Sprężyny? – ożywił się burmistrz Roliński. – Co z nimi?

Zieleniewski opuścił bezradnie ręce.

– Może ty powiedz – poprosił mechanika.

– W kieszonkowych zegarkach też jest sprężyna, choć innego rodzaju – oznajmił Tołłoczko. – Nakręcanie zegarka to nic innego, jak jej napinanie. Dzięki temu zegarek chodzi. Ale co się stanie, jeśli otworzymy tylne wieczko, nie przytrzymując sprężyny? – Mężczyzna zawiesił głos. – Tak? – podjął po chwili. – Co się wtedy stanie?

Panującą ciszę mąciło jedynie brzęczenie muchy, tłukącej się o okienną szybę.

– Napięta sprężyna sama wyskoczy z zegarka – oświadczył zrezygnowanym głosem dyrektor Zieleniewski.

– Otóż to! – przytaknął z nagłym zapalem Tołłoczko, nie zważając, iż odpowiedź nie pochodziła od żadnej z osób, do których się zwracał. – Tak samo jest ze sprężynami psa parowego. Uszkodzenie pojemnika, w którym są umieszczone, może spowodować gwałtowne ich uwolnienie. Nie muszę chyba dodawać, że efekt otwartego zegarka ulegnie zwielokrotnieniu. Otóż znam zegarmistrza, któremu

zwyczajna sprężynka wybiła oko, kiedy zabrał się do pracy po pijanemu. Co tu dopiero mówić o takich sprężynach jak nasze! Uwolnione, mogą odbijać się nawet kilkanaście razy od różnych przeszkód, zmieniając przy tym kierunek, niszcząc wszystko, co napotkają po drodze, a wtedy...

– Zaraz, chwileczkę! – Burmistrz Roliński zerwał się z krzesła, z twarzą nagle poczerwieniałą. – Jak to: niszcząc? W jakim stopniu niszcząc? A jeśli trafią w człowieka!

Tołłoczko zamrugnął nerwowo. Zaniepokojony, zerknął na chmurną minę dyrektora.

– Ludzkie ciało sprężyna przetnie z precyzją chirurgicznego noża – odezwał się Zieleniewski.

– Ależ Edmundzie! – zawołał skonsternowany burmistrz. – Sprzedajesz ludziom bombę?

Komendant Straży Miejskiej drżącą ręką otarł pot z czoła, wspominając swój niedawny zapal, niedoszły na szczęście, by z psami włóczęgami psami rozprawić się za pomocą broni palnej.

– Jaka tam bomba! – zachnął się Zieleniewski. – Prędzej wybuchnie piec w twoim samochodzie albo ciśnienie pary wodnej rozsądzi w nim rury, niż z psa parowego wydostanie się choć jedna sprężyna. Zapewniam cię, że są doskonale zabezpieczone.

– Cóż więc radzisz?

– Zdziczałego psa parowego trzeba schwytać jak najszybciej, bez rozgłosu i ofiar, z tym chyba wszyscy się zgadzamy. – Dyrektorskie spojrzenie wędrowało kolejno po każdym z zebranych, by na koniec znów spocząć na Rolińskim. – Dlatego proponuję wysłać na Planty Parowego Hycła.

– Parowy Hycel? – zdziwił się burmistrz.

– Mamy coś takiego? – zaciekał się mechanik Tołłoczko.

– Jeszcze nie. Ale będziemy mieli. Zmontujemy go w dwa dni! – zawołał wyzywająco Zieleniewski. Pamiętając postawione przez burmistrza warunki, patrzył na niego jak na przeciwnika pistoletowego pojedynku.

– W dwa dni? – zaprotestował Tołłoczko. – Ależ jak? Panie dyrektorze, przecież to niemożliwe! A projekt techniczny? – podchwycił z nagłą nadzieją. – Przecież musi być projekt!

– Projekt jest – skomentował spokojnie Zieleniewski. Ku zdumieniu towarzystwa wyciągnął zza przepierzania samojezdną deskę kreślarską. Na gwoździkach dyndały ekierki i suwak logarytmiczny, ale to nie one przykuły uwagę zebranych, tylko rozpięta na desce dokumentacja.

– O kurtka na wacie! – wyrwało się mechanikowi, chłonącemu rysunek okrągłymi oczami.

– No, może brakuje paru szczegółów, ale to drobiazg – dodał Zieleniewski. – Uzupełnię je w dwie godzinki.

– Jak to możliwe? – spytał burmistrz, usiłujący swym nietechnicznym umysłem wychwycić regularności w wyrysowanych ołówkiem szczegółach. Gubił się jednak w gąszczu linii i cyfr. – Masz gotową dokumentację Parowego Hycła? Tak od ręki?

– Od ręki – odparł dumnie zadowolony z siebie wynalazca.

– Zaraz! – zawołał burmistrz z nagłą podejrzliwością. – Czyś ty się tego przypadkiem nie spodziewał?

– Ależ skąd! – Zieleniewski obruszył się. – To jest inny projekt. Równie nowatorski, dlatego sędzę, że się nada. I co pan na to, panie Bolesławie? Czy zgodzi się pan ze mną, że jeśli do urządzenia domontować kabinę montowni sprężyn, powinno sprostać naszemu zadaniu?

Tołłoczko nadal błędził rozgorączkowanymi oczami po rozpiętych na desce rysunkach. Nagle zaczęło się dziać z nim coś dziwnego. Jego twarz czerwieniała coraz bardziej z każdą chwilą, poliki nadymały się, jakby zaraz miały pęknąć. – Ależ

ten projekt jest... – Mechanik z trudem łapał oddech. – Wnioskuje... że... zamierzał pan zaprojektować... – zdołał jeszcze wykrztusić, po czym zaciął się na dobre.

– Co mu się stało? – zaniepokoił się burmistrz Roliński.

– Nic takiego. – Zieleniewski machnął lekceważąco ręką. – Zapewne jest pod wrażeniem moich umiejętności projektowych. Proszę nie zwracać na niego uwagi. Ale to dobry fachowiec. Najlepszy w fabryce. Zapraszam obu panów pojutrze o tej samej porze. Parowy Hycel będzie gotowy. Nieprawdaż, panie Bolesławie?

Odpowiedziała mu cisza.

– Panie Bolesławie!

Zaaferowany mężczyzna oderwał się od deski kreślarskiej.

– Tak – rzekł z roztargnieniem. – Pojutrze. Chyba tak.

– W takim razie proszę przygotować park maszynowy.

Tołłoczko zawahał się:

– Panie dyrektorze, wspomniał pan o kabinie sprężyn, która, jak rozumiem, ma tu pracować jako demontownia. Jeśli mamy umieścić ją na tym... hmm... hycłu, to trzeba by ją najpierw zdemontować z rampy.

– Oczywiście. Proszę się tym zająć. Aha! – Dyrektor Zieleniewski wyjął z kieszeni prostokątną blaszkę i podał ją mechanikowi. – To jest tabliczka znamionowa jednego z naszych psów. – Niech pan zajrzy do działu handlowego i postara się o adres klienta, który ten egzemplarz u nas kupił. Tylko dyskretnie, panie Bolesławie, tylko dyskretnie.

– Numer seryjny KFMP-00010 – przeczytał na głos Tołłoczko. – Ależ nie muszę tego sprawdzać, panie dyrektorze. To był numer dziesiąty, jubileuszowy. Mieliśmy z tej okazji małą fetę, dlatego dobrze pamiętam kto kupił ten egzemplarz.

– Kto?!

– Obecny tutaj pan burmistrz Roliński.

– Ja? – Z całego towarzystwa burmistrz wydawał się być osobą najbardziej zdumioną.

– Nie pamiętasz, że kupiłeś u nas parowego psa?! – zawołał zdezorientowany Zieleniewski.

– Oczywiście, że pamiętam. Kupiłem go dla swojego wnuka. Ale skąd miałem wiedzieć, że to ten? Wnuk dostał prezent i więcej go nie widziałem. Znaczy się, parowego psa, nie wnuka.

– Nic dziwnego, skoro grasował po Plantach – rzekł uszczypliwie Zieleniewski i dodał: – Mam oczywiście na myśli psa, nie twojego wnuka.

– Swojego czasu córka wspominała, że pies się popsuł – rzekł zasepiony burmistrz. – Miałem nawet zabrać go do ciebie, żebyś zobaczył, czy da się naprawić, ale jakoś o tym zapomniałem.

– Ty zapomniałeś – skomentował Edmund Zieleniewski. – Jednak wygląda na to, że ktoś inny nie zapomniał.

Wychodząc, burmistrz Roliński raz jeszcze spojrzał na deskę z dokumentacją techniczną.

– Ciekawe – mruknął.

– Co? – spytał Zieleniewski.

– Niewiele rozumiem z tych waszych inżynierskich kresek, ale kiedy na to patrzę, wiesz co mi się przypomina?

– No?

– Madame Isabelle i jej dziewczęta. Bardzo dziwne, co?

Dyrektor Edmund Zieleniewski w milczeniu przełknął ślinę.

\*\*\*

Automobil Zieleniewskiego zatrzymał się na jednej z uliczek krakowskiego Stradomia, lecz nie wysiadł z niego ani kierowca, ani mechaniczny pies, dyszący parą

na siedzeniu pasażera. Czekali. Opuścili pojazd dopiero wówczas, gdy zza zakrętu wyłoniło się inne auto, z charakterystycznym herbem Krakowa na drzwiach. Miejsca szofera nie zajmował mężczyzna w kraciastej marynarce, lecz osobiście burmistrz Roliński, co Zieleniewski przyjął z zadowoleniem. Im mniej postronnych osób zaangażowanych w sprawę, tym lepiej.

Burmistrz łypnął oczami na boki, wygramolił się ze służbowego samochodu, po czym zamasztył ruchem otworzył tylne drzwiczki. Na chodnik wyskoczyła miniaturka Rolińskiego, ubrana niemal tak samo elegancko jak jej pierwowzór.

– Mój wnuk – przedstawił dzieciaka burmistrz. – Bardzo rozgarnięty chłopak. Czasem aż za bardzo, jak się okazuje. Uznałem, że skoro nawarzył piwa, to powinien je wypić. Niech się uczy odpowiedzialności.

Zieleniewski zlustrował elewację kamienicy.

– Jesteś pewien, że to ten adres?

– Jędre! Ten? Odpowiadaj, huncwocie!

– Ten... – Chłopak pokornie zwiesił głowę.

Kobieta, która im otworzyła, patrzyła nieufnie. Kiedy dostrzegła zaparkowany po drugiej stronie ulicy samochód z herbem Krakowa, jej oczy stały się jeszcze bardziej nieprzyjazne. Parującej na zimnym powietrzu Bałajki nie obdarzyła większym zainteresowaniem, co świadczyło o obyciu z podobnymi wynalazkami.

– Wynajmuje pani pokoje studentom?

Gospodyni wzięła się pod boki

– No i? – Wyczekująco zawiesiła głos.

– No i bardzo dobrze. Młodzież należy wspierać. – Zieleniewski grzecznie uchylił cylindra. – Chcielibyśmy porozmawiać z jednym z nich. Nazywa się... – Zerknął na wnuka burmistrza. – Jak on się nazywa?

– Ignacy – odparł Jędre. – Łukasiński czy Łukasiewicz, jakoś tak.

– Podobno studiuje farmację – dodał burmistrz.

– Ja tam nie wiem, co on studiuje. Ale zgadza się. Pomieszkuje tu taki. A co? Coś przeskrobał? Ja tam za nic nie odpowiadam...

– Chcieliśmy tylko z nim porozmawiać.

– Jest przerwa semestralna, pojechał do domu.

Roliński rozejrzał się, odczekał, aż chodnikiem przejedzie cyklista, po czym wyjął portfel, z którego wyłuskał banknot.

– W takim razie... – Rozejrzał się raz jeszcze. – Chcielibyśmy rzucić okiem na jego pokój – wypalił bez dalszych ceregieli.

Spojrzenie gospodyni zmatowiało.

– Macie kwadrans – oznajmiła, chowając pieniądze. Odwróciła się, a dwóch mężczyzn, chłopiec i parowy pies podążyli z nią.

\*\*\*

– To on. Nie mam cienia wątpliwości! – Zaaferowany Edmund Zieleniewski przeglądał zapisane maczkiem zeszyty. Na biurku leżało kilka odręcznych rysunków, również wydobytych z szuflad. – Cóż za otwarty umysł... Dociekliwy... Hmm... Ciekawe... Bardzo ciekawe...

Burmistrz machinalnie skinął głową. Z pewnym znudzeniem rozglądał się po ciasnym pomieszczeniu.

– Sukinkot wprowadził do mechanizmu olej skalny – mrucał Zieleniewski, nisko pochylony nad studenckimi zapiskami. – Pod wpływem ciśnienia ciecz rozlała się w zamkniętej obudowie parowego psa, tworząc coś na podobieństwo krwiobiegu. – Dyrektor uniósł głowę i wbił półprzytomny wzrok w burmistrza. – Olej skalny! – wykrzyknął. – Kto by pomyślał! Takie gówienko!

Na widok nadętej twarzy burmistrza oprzytomniał, zerknął na towarzyszącego im wnuka: – Przepraszam za wyrażenie.

– Nic nie szkodzi – mruknął Jędrek, zajęty opukiwaniem parowego psa. Za każdym puknięciem ze stalowego wnętrza dobiegało spóźnione echo. – Każdy lubi eksperymentować.

– Nie, nie! – zaprotestował Zieleniewski. – Drogi chłopcze, dobry inżynier najpierw obmyśla konstrukcję, projektuje ją, a następnie wykonuje prototyp, by potem go ulepszać. To naturalna kolej procesu technologicznego.

– Ale można też przeprowadzić doświadczenie, żeby przekonać się, co z niego wyniknie.

– Tak właśnie zrobił twój przyjaciel student?

– Nie jest moim przyjacielem. Ja mu tylko sprzedałem mojego zepsutego grata.

– Jędrek raz jeszcze puknął kostką palca w tors Bałałajki. – Pański pies jest o wiele lepszy, jego bym nie sprzedał. – Przebiegle zerknął na burmistrza Rolińskiego: – Dziadku, chciałbyś mieć takiego psa?

– Ja? – Burmistrz wzdrygnął się. – Żadnego psa. Nigdy więcej!

Jędrek wzruszył ramionami, ale nie wyglądał na specjalnie zmartwionego. Zapewne przywykł, iż deklaracje dziadka, który w końcu był politykiem, niewiele znaczą.

– To wszystko, co znalazłeś? – zapytał Roliński, powstrzymując Zieleniewskiego od ponownego pochylecia się nad zeszytami.

Wynalazca wyprostował się.

– Jeszcze tyle, że nasz kłopot prawdopodobnie skończy się z chwilą zlikwidowania wiadomego obiektu. Więcej przeróbek nie dokonano z powodu braku egzemplarzy eksperymentalnych. Na nasze szczęście studencka kieszeń nie jest zasobna. Ale trzeba mieć na chłopaka oko. Koniecznie muszę z nim pogadać, gdy tylko wróci. To geniusz.



– Moja w tym głowa, żeby tak się stało – oświadczył burmistrz. – A jak tam miewa się nasz Parowy Hycel? – zapytał tonem sugerującym zajęcie się konkretnymi.  
– Zdażysz na czas?

Wynalazca skrzywił się, jakby mu kto nastąpił na odcisk.

– Maszyna właściwie jest gotowa, ale pojawił się pewien problem – przyznał. – Całkiem prozaiczny, wynikający z faktu, iż Parowy Hycel nie jest maszyną potrafiącą pracować samodzielnie. Wymaga, hmm... partnera.

– Jakiego znowu partnera? O czym ty mówisz?

– Nooo... kogoś, kto nim pokieruje... znaczy się...

– Potrzebny jest kierowca, jak w samochodzie. To przecież jasne. – Roliński zniecierpliwił się. – Jaki widzisz problem?

Zieleniewski dyskretnie pochylił się nad burmistrzowym uchem.

\*\*\*

Pogoda była wyśmienita. Na niebie świeciły gwiazdy, a księżyc w pełni doskonale udawał gazową latarnię, jedną z tych, które od początku lat trzydziestych systematycznie opanowywały nocny Kraków. Nieopodal cykały świerszcze.

– No, wreszcie! – Na widok swojego pracownika, który wyłonił się z przesłoniętej krzewami ciemnej alejki, Zieleniewski odetchnął. Pierwszy raz widział Bolesława Tołłoczkę bez roboczego fartucha; w garniturze mężczyzna prezentował się całkiem nieźle, choć muszka przy kołnierzyku wydawała się jednak lekką przesadą.

Parowy Hycel stał na lawecie, połyskując w świetle księżyca. Puszczając kłęby pary wodnej, czekał na odpalenie. Przez spojenia naprędcy zmontowanych blach prześwitywał żar rozgrzanego paleniska. Całość przypominała łóżko z baldachimem, który to baldachim spadł wprost na posłanie, po czym został doń przyspawany. Z

boków doczepiono cztery solidne stalowe koła, z przodu wystawała wielka łapa na wysięgniku.

Bolesław Tołłoczko, Główny Mechanik Krakowskiej Fabryki Maszyn Parowych, minę miał grobową – ściślej ujmując, nie tyle kojarzyła się ona ze smutkiem żałobnika, co ze spoczywającą w trumnie tegoż smutku przyczyną.

– Panie Bolesławie, trochę więcej zapału! – Zieleniewski uspokajająco położył dłoń na ramieniu mężczyzny. – Proszę spojrzeć na to z innej, bardziej praktycznej strony. Będzie pan pierwszym na świecie człowiekiem, który zasiądzie za kierownicą Parowego Hycła. Czyż to nie pokrzepiające?

– Żałuję, że się zgodziłem – poinformował smętnie Tołłoczko. – W dodatku, kiedy pomyślę, do jakich celów miał służyć pierwotny projekt! Zapewniam, że w normalnych okolicznościach, ja nigdy... przenigdy... Wie pan, że ja nigdy życiu nie byłem w żadnym bur...

– Ciii – przerwał mu Zieleniewski, dyskretnie wskazując palcem komendanta Straży Miejskiej, opartego o lawetę i palącego darowaną przez dyrektora cygaretkę. Odwrócił się w jego stronę.

– Możemy zaczynać? – zapytał.

– Jak najbardziej – odparł Jaworski, rozpędzając dłonią kółka z dymu, które po licznych wysiłkach udało mu się wreszcie wypuścić ze zwiniętych w rulonik warg. – Wjazdy na Planty obstawiłem swoimi ludźmi, nikt postronny nie powinien przeszkadzać.

– Doskonale! – Zieleniewski nie mógł się powstrzymać, aby nie zatrzeć rąk. Pomimo upływu lat uruchamianie każdego prototypu nieodmiennie wywoływało w nim uczucie ekscytacji.

Tołłoczko wgramolił się na lawetę i nałożył pożyczone z fabryki gogle, na co dzień używane przez objeżdżaczy automobili. Otworzył jedyne drzwiczki Parowego Hycła, odsłaniając rozświetlone czerwienią wnętrze – nie dość, że ciasne (montownia

sprężyn zajmowała większość miejsca), to jeszcze z poziomym usytuowaniem fotela kierowcy. Właściwie nie był to fotel, raczej leżanka, z pikowaną tapicerką w kolorze soczystego bordo. Zanim Tołłoczko zanurzył się w trzewiach maszyny, raz jeszcze obejrzał się na dyrektora Zieleniewskiego, jakby liczył na to, że coś jednak się zmieni.

Nie zmieniło się nic.

Kiedy za bohaterskim mechanikiem zatrzasnęły się drzwiczki, w parku zapanowała cisza. Nawet świerszcze zastygły w niemym oczekiwaniu. I stało się! Parowy Hycel odpalił, wydając dźwięki, jakich nie powstydzilaby się mała lokomotywa. Z wnętrza wyłoniła się ręka Tołłoczki, poprawiająca wsteczne lustro, po czym maszyna ruszyła. Zjechała z lawety, zamigotała światłami (samego Zieleniewskiego zdumiała ich ilość; nie pamiętał, że zaprojektował ich aż tyle), po czym ruszyła, ignorując wytyczone alejki. Kiedy najechała na kosz na śmieci, rozległ się zgrzyt i kosz zniknął pod stalowymi kołami. Nim jego sprasowane szczątki zdążyły wyłonić się z tyłu, przednie koła już taranowały pieczołowicie przystrzyżone krzaki.

– Co on wyprawia?! – zawołał Jaworski. Rzucił cygaretkę i nerwowo poprawił czapkę z daszkiem, jakby przymierzał się do mandatu.

– Bez paniki – uspokoił go Zieleniewski. – Tołłoczko może nie jest najlepszym kierowcą, prawdę mówiąc, nie wiem nawet, czy posiada własny automobil, ale zapewniam, że na mechanice zna się doskonale. Nie wątpię, że sobie poradzi.

Jakby na potwierdzenie jego słów, Parowy Hycel wyprostował kurs i wrócił na wysypaną żwirkiem alejkę. Z wolna oddalał się od obserwujących go mężczyzn. W pewnej chwili coś huknęło, niczym korek od szampana, i z maszyny wydobył się dym.

– Co to było? – zaniepokoił się Jaworski.

– Feromony – powiedział Zieleniewski, wpatrzony w coraz odleglejsze światelka. – Zapachowe erotyczne wabiki – dodał, widząc zdezorientowaną minę komendanta. – Parowy Hycel właśnie je wypuścił. A jak pan to sobie wyobrażał? Że niby jak inaczej przywabić bandę kundli?

– Parowy pies reaguje na te...

– Feromony – podpowiedział Zieleniewski. – On nie. Ale żywe psy tak, mam nadzieję. Nasz delikwent pójdzie za sforą.

– O kurczę pieczone! – zawołał z uznaniem Jaworski. – Erotyczne feromony. Nie miałem pojęcia, że coś podobnego w ogóle istnieje!

– To pierwsza tego rodzaju próba. Nazwa nie jest jeszcze w użyciu, takie robocze hasło, szczerze mówiąc wątpię, czy się przyjmie. Feromon to trudne słowo.

Komendant wystawił nos.

– Aż tutaj je czuję, te feromony. Nawet ładnie pachną. Uff. A muszę się przyznać, że zaczynałem mieć wątpliwości. Bo przyzna pan, że trudno wyobrazić sobie, żeby taki klockowaty rakarz jak nasz złapał choćby kundla z kulawą nogą. Za przeproszeniem.

Edmund Zieleniewski pokręcił głową.

– Parowemu Hycelowi nikt się nie oprze. Na tym właśnie polegał mój pierwotny pomysł. Nie oprzeć się!

– Pierwotny?

– Ach! – Inżynier machnął ręką, z nie najlepiej udawaną obojętnością. – Nieważne.

Nagle poderwał się.

– Zaraz! – Złapał odchodzącego Jaworskiego za ramię. – Dokąd to? Gdzie się pan wybiera?

– Nooo... za hyclem.

Jaworski z lubością wziął haust powietrza. Oczy jakby zasnuły mu się mgłą. Nozdrza zafalowały...

– Ani kroku! – rozkazał Zieleniewski. – To działają feromony. Ale pan nie jest psem, do diaska!

Jaworski oprzytomniał. Zaczerwienił się jak dzieciak.

– Myślałem, że my za nim...

– Nie za nim! Siadaj pan na ławce!

Komendant Straży Miejskiej usiadł posłusznie. Zieleniewski zajął miejsce obok.

– Co? Ciągnie pana? – zagaił ugodowo. – Mnie też ciągnie – przyznał. – Trochę. Ale czekamy. Nie ruszamy się stąd i czekamy. Jasne?

– Jasne.

– Wystarczy, że Tołłoczko ryzykuje życiem – mruknął Zieleniewski.

\*\*\*

O drugiej nad ranem usłyszeli świst powracającego Parowego Hycła. Jakies pół godziny wcześniej rozległ się wystrzał, jak z armaty, co mocno ich zaniepokoiło. Zieleniewski żadnej armaty na Parowym Hycle nie zaprojektował. Tym większa była ulga, że maszyna wracała.

Pojazd zatrzymał się. Sapał gęstym obłokiem pary, a potem otworzyły się drzwiczki. W otworze najpierw pojawiły się w nogi, następnie tułów, a na koniec głowa z przekrzywionymi, zaparowanymi goglami. Włosy Tołłoczki sterczały w nieładzie, połowa z nich stała dęba.

Mężczyzna uśmiechał się.

– Wiwat! – krzyknął podniecony komendant Straży Miejskiej.

Tołłoczko nie zareagował. Nieobecnym wzrokiem toczył po zasnutej nocną mgłą okolicy.

– Wszystko w porządku? – zawołał do niego Zieleniewski. – Hej tam! Panie Bolesławie!

Dopiero kiedy zamachał rękami, mechanik spojrzął w jego stronę, wciąż z tym samym, jakby przylepionym uśmiechem. Skinął głową, a potem wskazał palcem na swoje uszy.

– Ledwie słyszę! – wrzasnął, jakby stali kilometr od niego. – Tak huknęło, że myślałem, że już po mnie! – Zeskoczył z Parowego Hycła i stanął przed dyrektorem.

– Niech pan coś powie – poprosił. – Byle co.

– Parowy Hycel jest lepszy niż sznycel – powiedział dyrektor, sam zdumiony rymem, który tak niespodziewanie mu wyszedł.

– Uff! Już lepiej. – Tołłoczko odetchnął. – Bałem się, że ogłuchłem na amen.

– Co tam się stało?

– Nie mam pojęcia. Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Kiedy pojawiła się sfera, od razu dostrzegłem wśród nich naszego parowca. Miałem wrażenie, że próbuje swoich towarzyszy zawrócić. Jakby przeczuwał podstęp.

– Świadomość... – wyszeptał dyrektor Zieleniewski nawiedzonym głosem, od którego wszystkich obecnych przeszedł dreszcz. – Zrozumiałem to w chwili, gdy zobaczyłem zapiski tego studenciaka. Jego zdaniem olej skalny jest pochodzenia organicznego. Organicznego! – powtórzył. – Rozumiesz, co to może oznaczać?

– Może pan mówić głośniejsze? – poprosił Tołłoczko. – Wciąż nie słyszę zbyt dobrze.

– Nieważne. Nie temat na dziś. Niech pan opowiada dalej.

– Wysięgnik spisał się na medal. Magnes zadziałał. Załadowałem schwytanego parowego psa do komory montowni sprężyn. Wił się, jakby był żywy, szkoda, że pan tego nie widział. Ale ledwie zamknąłem klapę i uruchomiłem zaczep demontażu sprężyny, jak nagle coś nie huknie!

– W psie był olej skalny! – Zieleniewski uderzył się dłonią w czoło. – Oczywiście! Ciśnienie i temperatura. Jak mogłem tego nie przewidzieć!

– Potwierdziło się, że dobrze pan zaprojektował komorę sprężyn. – Tołłoczko pokiwał głową. – Inaczej zostałyby ze mnie strzępy.

– A pies?

Mechanik wzruszył ramionami.

– Po takiej eksplozji szlag go trafił. Dobrze, że zdążyłem z wyjęciem sprężyny.

– Cholera!

– To tylko stara blacha, szefie. Najważniejsza jest sprężyna, a ta została zabezpieczona. Nie ma się czym martwić.

– Dla jednych nie ma, dla drugich ma. Na szczęście jest jeszcze ten Łukasiewicz. Teraz to już koniecznie muszę z nim pogadać.

– O czym pan, szefie?

– Nieważne. – Zieleniewski przysunął się bliżej Tołłoczki. Nachylił się nad jego uchem. – A jak tam sprawy, że tak powiem... ogólnokonstrukcyjne.

Mechanik uniósł ręce, usiłując, bez większego powodzenia, przyglądzić katastrofalnie zmierzwione włosy.

– Niech to diabli! – rzekł z rozbłyskiem w oczach.

– Czyli dobrze czy źle?

– Niech to diabli! Jest pan szatanem!

Wbrew tym ostrym słowom, zupełnie nieprzystającym do stosunków dyrektor-podwładny, zmęczoną twarz mechanika rozjaśnił szelmowski uśmiech.

\*\*\*

Madame Isabelle, właścicielka domu, który w Krakowie powszechnie nazywano jej imieniem, tkwiła znudzona w oknie, obserwując pustą ulicę. Był środek tygodnia; w takie noce powinna właściwie zamknąć lokal i pozwolić dziewczynom pospać,

jednak jako osoba poważna i obowiązkowa nigdy by sobie na podobną nieodpowiedzialność nie pozwoliła. Spaliłaby się ze wstydu, gdyby jakiś potrzebujący pocieszenia nieszczęśnik, zachodząc w jej skromne progi, zamiast tego na co liczył, pocałował – wyłącznie – klamkę.

W dodatku zaczął siąpić deszcz, choć wcześniej noc była pogodna.

Ożywiła się, dostrzegłszy nadjeżdżający czarny automobil, lśniący w blasku lamp gazowych. Bezzwłocznie zeszła na dół. Otworzyła drzwi, nim dyrektor Edmund Zieleniewski zdążył pochwycić mosiężną kołatkę.

– Och! Dziś środa, a pan u nas? Cóż za niespodzianka?

– Miałem wyjątkowo ciężkie dni – wyjaśnił Zieleniewski. – Noce też zresztą. – Położył cylinder na komodzie i zdjął jesionkę, nieco wilgotną. – Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Rzekłbym nawet, że bardzo dobrze.

Jego parowy pies podążał za swoim panem krok w krok.

– Może go wytrzeć? – zaproponowała madame Isabelle, spoglądając z niepokojem na błoto, które stalowy zwierzak wniósł do pokoju.

– Sam wyschnie. Jest gorący. Go-rą-cy! – zaintonował śpiewnie rozluźniony wynalazca, co zdarzało mu się niemal wyłącznie w gościnnych progach madame Isabelle.

Puścił do gospodyni łobuzerskie oczko. Przeszli do salonu.

– Ostatnim razem obiecał mi pan Parową Kurtyzanę – upomniała się madame Isabelle, siadając na kanapie.

– Tak? – Zieleniewski zmarszczył brwi, jakby usiłował przypomnieć sobie wspomniane okoliczności.

– Opowiedziałam o tym dziewczętom. Nie były zadowolone, to zrozumiałe, ale ja wprost nie mogę się doczekać!

– Cóż, droga pani... Hmm... Sprawa, jak się okazuje, nie jest taka prosta.



– Nie? – Na twarzy kobiety pojawił się wyraz zawodu. – Panie dyrektorze! – zawołała z przyganą. – Poprzednim razem mówił pan coś innego!

Zakłopotany Zieleniewski chrząknął, pogładził palcami wąsy.

– Prawdę mówiąc, projekt techniczny miałem prawie gotowy, tylko zdjąć go z deski kreślarskiej. Jednak wynikły pewne komplikacje... z powodu których musiałem... zrezygnować...

Madame Isabelle wymownie zatrzepotała rzęsami.

– Na niepowodzenie nie miały wpływu kwestie techniczne. – Zieleniewski ożywił się. – Zdecydował aspekt estetyczny. Tak, właśnie to! Mówiąc krótko, poszło o piękno.

– Ach, o piękno?

– W rzeczy samej. Parowozy, automobile, nawet żelazne psy, wszystkie są piękne w swojej konstrukcji, starannie zaplanowane i wykonane. Niemniej jest to uroda mechaniczna, które z pięknem kobiecości nie ma nic wspólnego. Jako projektant przekonałem się, że są to dwa zupełnie różne rodzaje piękna.

Madame Isabelle, nagle zarumieniona, dystyngowanym ruchem poprawiła fryzurę, rozsiewając wokół woń perfum.

– Chyba rozumiem, co ma pan na myśli – powiedziała.

– Jestem inżynierem, człowiekiem praktycznym. Bóg niestety poskąpił mi wrażliwości artysty. W porę zorientowałem się, że to, co powstało na mojej desce kreślarskiej, jest żalostną próbą dogonienia niedoścignionego. Chyba nie chciałaby mieć pani u siebie posapującego stalowego monstrum, które zamiast dodać lokalowi charakteru, sprowadziłoby go do poziomu marnego, poplamionego smarami warsztatu mechanicznego?

– Cóż za perwersja! – wykrzyknęła przerażona madame Isabelle. – Oczywiście, że nie!

Wynalazca ukłonił się.

– Dlatego zrezygnowałem, pomimo wielu wyrzeczeń. Wybacz mi pani, Królowo Tego Miasta?

– Och! Jakże mogłabym się na pana dłużej gniewać.

– Lecz nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa, jakim Zieleniewski! – oznajmił dumnie wynalazca. – Kiedyś pokonam i tę barierę. Postanowiłem zająć się nieco chemią. Nauka jest wszechpotężna.

Parowy pies zaszczekał z wyraźną aprobatą.

## Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje

### **SZABLĄ I WĄSEM.**

Antologia opowiadań sarmackich

#### **Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.**

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ognie i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce.... Charakterniki, szubieniczniki i lichy wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

*Szablą i wąsem* to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chełpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

### **ŚWIATY RÓWNOLEGŁE**

Antologia opowiadań fantastycznych

#### **Sekcja literacka ŚKF w akcji**

Jaki los czeka małą dziewczynkę i jej ojca osamotnionych w postapokaliptycznym zimowym świecie? Czy genetycznie udoskonalony detektyw rozwiąże sprawę brutalnych morderstw? Co wydarzyło się na L’Isle d’Escargot, jak kończy się przywołanie ducha Chopina i kim naprawdę jest syn śląskiego alchemika, który od najwcześniejszego dzieciństwa ma wrażenie, że wszyscy prócz niego żyją z jakąś straszną tajemnicą?

W „Światach równoległych” znajdziemy opowiadania zarówno autorów znanych i nagradzanych, jak i debiutantów. Znajdziemy SF twarde i humorystyczne, grozę, groteskę, kryminał oraz fantasy w różnych odcieniach. Wszystkie te teksty łączy jedno – udowadniają one, że jeśli szukać gdzieś literackich talentów, to przede wszystkim w Śląskim Klubie Fantastyki.

## **ANTOLOGIA „KRYMINALNA 13”**

to jedyny w swoim rodzaju projekt, firmujący pierwszy konkurs literacki organizowany przez Oficynę wydawniczą RW2010. Znaleźliśmy 13 specjalistów od zbrodni, 13 sprawdzonych fachowców od literackiej mokrej roboty i umieściliśmy ich zabójczo świetne opowiadania w jednym zbiorze. Zarazem poprosiliśmy szanowne autorskie grono, aby wzięło udział w pracach profesjonalnego, kompetentnego i niezależnego jury.

Medialny patronat nad konkursem objęła redakcja „Świtu ebooków” oraz serwis literacki „Książka zamiast kwiatka”, platforma „Maszyna do pisania”, serwis „E-fantastyka”, „Kawiarenka kryminalna”, Portal Rynku Wydawniczego „Wydawca”.

Zapraszam do lektury naszej antologii. Prezentujemy wysmakowany zestaw opowiadań kryminalnych i sensacyjnych, podlanych tajemnicą, doprawionych szczyptą fantastyki, zbiór tekstów na wskroś współczesnych oraz sięgających w przeszłość, a nawet dotyczących wydarzeń i postaci historycznych.

Przed Wami ponad 250 stron, 13 autorów i jeden motyw...

## **DO DIABŁA Z BOGIEM**

Antologia opowiadań fantastycznych

### **Opium dla ludu w 10 odsłonach**

Do diabła z bogiem... Ale którym bogiem? Do jakiego diabła i po co? Dziesięciu autorów tej fantastycznej antologii odpowiada na dziesięć różnych sposobów – nigdy jednak na klęczkach.

Czy pisarze zajmujący się fantastyką mogą pisać o religiach? Zbiór opowiadań, który prezentujemy, dowodzi, że nie tylko mogą, ale powinni! Efekt konfrontacji wiary z rozumem, przeszłości z przyszłością, magii z fantazją może Was zaskoczyć. I prędzej czy później niektórzy z was dojdą do wniosku, że to wszystko jest... fikcją.

## **Dawid Juraszek: JEDWAB I PORCELANA, TOMY I, II, III i IV**

*Jedwab i porcelana* to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce krainy rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zмага się z własnymi demonami i samym sobą. *Jedwab i porcelana* to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów. *Biały tygrys* i *Niebieski smok* (nowe wersje) oraz *Czerwony ptak* i *Czarny żółw* (prapremiery).

### **Konrad T. Lewandowski: Most nad Otchłanią**

Osobliwy świat, gdzie ruch gwiazd i planet nie podlega żadnym regułom. Potężne państwo-miasto, o władzę nad którym walczą dwa stronnictwa. Doskonały styl sprawia, że czytelnik wyrusza wraz z autorem w podróż niezwykłą, daleko i blisko jednocześnie. Bo choć tam, gdzie toczy się akcja, nic nie jest takie samo, to jednocześnie wszystko wygląda jakby znajomo... przynajmniej jeśli chodzi o ludzkie motywacje, pragnienia bohaterów i nieuniknioną logikę dziejów.

Powieść epicka i kameralna zarazem, fantastyczna i uniwersalna, gdzie w walce między ludźmi i ideami nic nie jest tak oczywiste, jak się wydaje stronom konfliktu, a racja jak zwykle leży gdzieś pośrodku, gdzieś wysoko ponad nimi... A może gdzieś nisko, tam, gdzie nie sięga nawet Otchłań?

Polityczne i religijne rozgrywki toczyły się poza Andreilem. Jak każdy potomek Starych Rodów ukończył Akademię wojskową, ale z tą starą tradycją nie łączyły się żadne obowiązki. Do armii garnęło się dość nuworyszy i zubożałych mieszczan, żeby synowie arystokratów mogli spokojnie zajmować się winem, niewolnicami i poezją. Andreil, któremu ojciec kupił patent oficerski, nigdy nie podejrzewał, że będzie musiał walczyć naprawdę! Aż tu nagle przyszedł rozkaz od doży wysyłający niedoświadczonego porucznika w pole. Co się kryło za tą zaskakującą decyzją? Młodzieńca poraził strach. Jeszcze wczoraj był na balu, a teraz czekała go walka, w której najpewniej zginie. Jak postąpi Andreil? Wykaże się odwagą i przebiegłością czy zapomni o honorze, byle uratować życie?

### **Maciej Żytowiecki: Szuje, mątwy i straceńcy**

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszкана przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.

### **Andrzej W. Sawicki: Kolce w kwiatach**

Zbiór opowiadań ze świata powieści „Nadzieja czerwona jak śnieg”. Historii o tym, jak grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach oblężonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmieńcy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotę, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.